

Janina Piachy

MÓJ BRAT - KAZIMIERZ MICZULSKI

Mój najstarszy brat, Kazimierz Maciej, syn Józefa Miczulskiego i Antoniny z Krynickich, urodził się 24 lutego 1902 roku w Muszynie. Od najmłodszych lat był sympatykiem i oddanym wielbicielem Polskiej Policji Państwowej. Kiedy okazało się, że jest potrzebna zgoda ojca na wstąpienie młodocianego Kazimierza w szeregi Policji, ten długo nie mógł się zdecydować. Bał się dla syna ryzyka związanego z pracą policjanta. Nic nie mogło jednak zachwiać postanowieniem mojego Brata, który postanowił zrealizować swe marzenie.

Od początku stał się pracownikiem niezmiernie sumiennym, choć nigdy nie przestał być człowiekiem o otwartym sercu. Opowiadano o nim barwne historie, takie jak tę o kradzieży kury we dworze przez Cygana. Kazimierzowi polecono zająć się tą sprawą, a on ją umorzył, w uzasadnieniu podając, że skoro Cyganka leży w położu z drugim dzieckiem, starsze bawi się golutkie na klepisku, a w chacie nędza, to i tak nie ma szansy na rekompensatę. Protokół kończył się adnotacją: *rodzina potrzebuje pomocy*.

Brakowało na papierze wiadomości o tym, że Kazimierz zostawił Cyganom parę złotych na niezbędną żywność.

Czego nie zawarł protokół, o tym wiedzieli Cyganie. Wnet zrewanżowali się graniem. Często grywali dla podróżnych, przejeżdżających do Krynicy przez Muszynę, gdzie pociąg musiał zmienić kierunek jazdy i doczepić lokomotywę z drugiej strony składu. Trwało to zwykle około 10 minut, w czasie których Cyganie umilali gościom postój muzykowaniem, za co na ogół dostawali drobne napiwki. Wracając ze stacji, nie omijali domu „Komendanta”, zatrzymywali się i grali. Brat dawał im parę groszy i zachęcał, by szli „w teren” na zarobek, ale zwykle to nie skutkowało. Graniu nie było końca. Bywało, że Ojciec, wstępując do domu przed południem, witał nas słowami: *Tylko tu śmiech i granie, a o obiedzie ani slychu...* Mama prosiła o chwilę spokoju, chcąc się wziąć do swojej pracy. Ale tak naprawdę w mieszkaniu robiło się cicho, dopiero gdy Kazimierz wychodził z gromadką wielbicieli nad



Malutki Kazimierz z matką i babką Katarzyną Miczulską. Stoi Andrzej Miczulski, najmłodszy stryj Kazimierza (fot. 1905 r., z archiwum autorki)

Poprad.

Kazimierz promieniował pogodą ducha i dobrocią, do wszystkich był przyjaźnie usposobiony. Uwielbiał śpiew i dobrą muzykę. Kiedy przeniósł się do Krakowa, gdzie pracował w Policji na Grzegórkach, udzielał się w zespole amatorskim rodzin policyjnych. Zespół ten realizował wielce ambitne przedstawienia, wodewile, a nawet opery, prezentując je na deskach Teatru Słowackiego. Kazimierz grywał różne role, zresztą ze sporym powodzeniem (na przykład był Paniczem w „Halce”). W przerwach spektaklu prowadził konferansjerkę, zawsze nagradzany hucznymi brawami.

Kiedy zjeżdżał na urlop do rodziny w Muszynie, przeniósł w domowe pielesze fragmenty wystawianych już „wesołości”, niez mordowanie nas zabawiając i prowokując do śmiechu. Oczekiwano tych wizyt, w końcu był pierwszym, choć trochę rozpuszczonym wnukiem i ukochanym synkiem Matki. To były naprawdę piękne dni...

Kazimierza interesowało wszystko, co działo się w Muszynie. Pamiętam, że kiedy oglądał nową muszyńską inwestycję — łazienki mineralno-borowinowe za Popradem — rozmawiał z pracującymi tam paniami, niepokojąc się tym, że pracują po 20 godzin dziennie, a równocześnie podziwiając je za to, że na nic nie narzekają.

Odwiedzał często miejsce urodzenia Ojca Józefa, czyli „Miczuły”. Starał się podtrzymywać więzy rodzinne z kuzynostwem, pracującym „w świecie”.

Kazimierz ożenił się z córką kapitana w roku 1933, w Krakowie. Do pracy został skierowany, jako starszy przodownik, na posterunek Policji do Bukowiny Tatrzańskiej i tu zastał go nieszczęsny rok 1939. Otrzymał rozkaz ewakuacji na wschód, wraz z zespołem



pracowników. W czasie tułaczki, gdzieś za Lwowem, żona Janina dostarczyła mu cywilne ubranie, które mogło pomóc w ucieczce. Żadne jednak błagania nie odniosły skutku — Kazimierz powiedział, że nie może tak kolegów zostawić. Był na to zbyt dobrym człowiekiem i zbyt wielkim patriotą. Poza tym ufał zapewnieniom przełożonych, że nic złego ich nie dosięgnie. Drogo za tę ufność zapłacił.

Z obozu w Ostaszkwie nie uciekał, miał odmrożone nogi. Powiadomił rodzinę przez kolegę, któremu cudem udało się zbiec i przepłynąć graniczną rzekę, choć bolszewicy do uciekinierów strzelali. Kazimierz zginął wiosną 1940 roku, dzieląc los wielu wspaniałych Polaków.

Tak bardzo cieszył się życiem, choć tak niewiele czasu mu było dane. Godząc się z wolą Boską, pozostaje nam wspominać tego wspaniałego, pogodnego człowieka...